

Koniec świata w Narwie

28 maja 2017

Narwa to granica. Styk cywilizacji. Ile to już razy wieszczono, że skoro wybuchła wojna na Ukrainie, to następna apokalipsa nastąpi właśnie tutaj? Sceneria, uwieczniana na tysiącach zdjęć, doskonale pasuje: po estońskiej stronie rzeki wznosi się średniowieczny zamek Hermana, dokładnie naprzeciwko, po stronie rosyjskiej, jeszcze potężniejsza twierdza Iwangorod. Tymczasem koniec świata w Narwie już był. Niezauważony.

Trafiam na jego ślady w towarzystwie Igora, lat na oko 55, i Wiktorii, 34-letniej pielęgniarki i lokalnej działaczki społecznej. Obiecali, że pokażą mi najważniejsze dla miejscowej społeczności miejsca. Jeździmy więc, zatrzymujemy się przy pomnikach, patrzymy na bastiony zbudowane przez Piotra Wielkiego, rozmawiamy o zabytkach, których już nie ma, bo nie przetrwały kilkumiesięcznych walk o Narwę podczas II wojny światowej. I kiedy kierujemy się do prawosławnego soboru, ocalałego z tamtej pożogi w trudny do zrozumienia sposób, po prawej stronie nagle wyrastają puste hale. Odpada ze starości czerwona farba, białe ściany dawno zmieniły się w szare, w ścianie z luksferów wyraźne, doraźnie zamurowywane ubytki. Pstrokaty szyld kręgielni na sąsiednim budynku biurowym, zamiast ożywiać pobożowisko, jeszcze potęguje przygnębiające wrażenie.

Igorowi nie wystarczy tłumaczenie, że to dawna fabryka „Bałtijec”, zbudowana krótko po wojnie, a zaraz na początku istnienia niepodległej Estonii zamknięta. Kontynuuje z żalem przechodzącym w złość: jak to jest, że zakład, który eksportował swoją produkcję po całym ZSRR i za granicę, tak po prostu upadł, właśnie wtedy, kiedy obiecano nam wolność i dobrobyt? Przecież zatrudniał tysiące ludzi, przyjeżdżali do niego do pracy z całego kraju. Dlaczego nikt z polityków nie przejął się tym, co z nimi będzie? Dlaczego nikt im niczego w

zamian nie zaproponował, ani po zamknięciu fabryki, ani przez kolejne lata?



Nieczynna już Manufaktura Kreenholmska.

Tak samo upadła słynna Manufaktura Kreenholmska, dopowiada Wiktoria, chociaż dla niej to być może historia jeszcze boleśniejsza: w Manufakturze pracowało czworo członków jej najbliższej rodziny. Manufaktura, zdawało się, była w Narwie zawsze; historycy powiedzą – dokładnie 1857 r., kiedy Ludwig Knoop razem z rosyjskimi akcjonariuszami otwierał zakład. Do końca stulecia Manufaktura stała się jedną z największych przędzalni bawełny na świecie. To w niej miały miejsce pierwsze wielkie zorganizowane protesty robotników na terytorium obecnej Estonii. Po I wojnie światowej stanęła przed widmem bankructwa, gdy nagle urwał się eksport do Rosji. Wtedy jednak zdołała się wybronić. Historia powtórzyła się po 1991 r. już bez szczęśliwego zakończenia. Sprywatyzowaną Manufakturę kupiła firma Borås Wäfveri AB ze Szwecji, w kolejnych rzutach zwalniała najpierw 170, a potem 400 pracowników, by ostatecznie w 2010 r. ogłosić upadłość. Marnym wspomnieniem dawnej świetności jest zakład Eurotektill, zatrudniający pół tysiąca osób, ponad dwadzieścia razy mniej, niż państwowa Manufaktura w latach 80. Została z wielkich zakładów tylko elektrownia, zaopatrująca do dziś w prąd niemal cały kraj. Przez tę okoliczność nikt jej upaść nie pozwoli.



Narwa.

Mieszkańcom, przyzwyczajonym do tego, że przemysł i robotników otacza się państwową opieką i szacunkiem, przebieg „demokratycznej transformacji” w Narwie, a właściwie w całej wschodniej Estonii, nie mieścił się w głowach. Przepadły wszystkie z pozoru nienaruszalne normy, utarte ścieżki. Kiedyś właśnie do Narwy ludzie zjeżdżali za pracą – teraz całkiem wartą rozważenia opcją zawałczenia o lepszą przyszłość okazuje się emigracja, ucieczka. Może do Tallinna, a może jeszcze dalej? W 1990 r. stałych mieszkańców miasta było ponad 80 tysięcy, dziesięć lat później – 73 tys., po następnej dekadzie – zaledwie nieco ponad 60 tys. Rosło rozgoryczenie, rodziły się próby wyjaśnienia sytuacji, niektóre całkiem fantastyczne, inne bardziej racjonalne. Narwie władze w Tallinnie szkodzą celowo, słyszę od Igora. To nielogiczne, żeby położonemu przy granicy miastu nie pozwolić korzystać na takiej lokalizacji. Ma przecież infrastrukturę, dworzec kolejowy, są chętni do pracy. To nie może być zwykłe zaniedbanie.

W każdej próbie wyjaśnienie sytuacji prędzej czy później powraca wątek narodowościowy. Wedle oficjalnych statystyk po rosyjsku mówi na co dzień 90 proc. mieszkańców Narwy. Siergiej, syn Igora, aktywista miejscowej organizacji społecznej „Pamiat’”, poprawia: już jest więcej, Estończycy szczególnie chętnie wyjeżdżali, dałbym rosyjskojęzycznym 98

proc. Rosyjskojęzycznym, nie tylko Rosjanom, to ważna różnica.

Oni właśnie na początku niepodległości, gdy waliły się w gruzy dotychczasowe podstawy istnienia miasta, stanęli przed dodatkowym problemem. Nowe estońskie ustawodawstwo wychodziło z założenia, że ten, kto nie ma wśród przodków obywateli Estonii przedwojennej, to element niepewny. Żeby dostać estoński paszport, konieczne było nauczanie się języka estońskiego i zdanie egzaminu ze znajomości konstytucji. Drugą możliwością było obywatelstwo rosyjskie, trzecią – status nieobywatela, „szarego paszportu”, z prawem pobytu, ale bez prawa głosowania w wyborach powyżej szczebla lokalnego ani podejmowania pracy w zawodach społecznego zaufania, z ograniczeniami w zakupie ziemi i prowadzeniu biznesu. W pierwszych latach republiki w całej Estonii liczba nieobywateli była bliska jednej trzeciej całej populacji. W Narwie to była większość, do tego powiązana niezliczonymi więzami rodzinnymi, towarzyskimi, zawodowymi z sąsiednim Iwangorodem – przez lata drugą, organiczną częścią miasta, która nagle stała się „inną cywilizacją”.



Iwangorod widziany z Narwy. Przed 1991 r. oba miasta funkcjonowały jak jedno.

Chcę rozumieć Estończyków, jeden z najmniejszych narodów Europy, od zawsze otoczony potężniejszymi sąsiadami, dopiero drugi raz przystępujący do tworzenia własnego państwa. Życzyli

sobie, by w jego granicach nie było piątej kolumny ani nostalgików za imperium. Jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w swoich rachubach zbyt uprościli sprawę. Zapomnieli, że to nie przeciętni rosyjskojęzyczni mieszkańcy Narwy kreowali politykę ZSRR wobec krajów bałtyckich. Byli głusi na argumenty: przyjechaliśmy tu uczciwie pracować i spokojnie żyć.

Igor pokazuje mi z bulwarów nad Narwą blok, w którym po drugiej stronie granicy zostali jego krewni. Wspomina, jak jeździł przez rzekę na dach i jak nagle okazało się, że do takiej podróży potrzebna jest mu wiza. U Siergieja sentymentu już tak nie czuć. Też ma znajomych z Iwangorodu, odwiedzał ich, przekraczał granicę. Przekonał się na własne oczy, że jeśli w Narwie transformacja gospodarcza okazała się katastrofą, to w Iwangorodzie niemalże zmiotła wszystko z powierzchni ziemi. Więc jednak się cieszy, że wyszło tak, że znalazł się po tej stronie rzeki. Nie jest w tym przekonaniu wyjątkiem. Po dokonaniu rachunku zysków i strat procedurę uzyskiwania estońskiego obywatelstwa przeszło 45,5 proc. mieszkańców Narwy – jakieś 30 tys. ludzi. 35,4 proc. wolało paszport rosyjski, ale w większości przypadków wystarczyło się także o estońską kartę stałego pobytu – tak postąpiła Wiktoria. Nieobywateli zostało 18,1 proc. To albo mieszkańcy na tyle sędziwi, by nie wyobrażać sobie nauki języka estońskiego w swoim wieku, albo ci, w których przeważało poczucie krzywdy i niesłusznego odrzucenia.

Niektórzy przedstawiciele drugiej i trzeciej grupy mają teraz gorzką satysfakcję, patrząc, jak rosyjskojęzyczni z estońskimi paszportami, niegdyś pełni nadziei, rozczarowują się. Bo okazało się, że opanowanie języka i ustawy zasadniczej daje niewiele. Kariera w administracji państwowej i tak w praktyce zarezerwowana jest dla przedstawicieli „narodu tytularnego”. Klasa polityczna Estonii, policja, media – to samo. Także w sektorze prywatnym, gdy pracodawcą jest Estończyk, działa etniczna solidarność. W narewskich władzach lokalnych znajdzie

się trochę ludzi o słowiańskich nazwiskach, głównie dlatego, że miejscowi nieodmiennie głosują na centrystów – partię, która od dawna wzywa, by przestać dzielić ludzi według pochodzenia. Ale to wyjątek, który też wszystkiego nie załatwia.

Siergiej z Wiktoria opowiadają, jak w 2016 r. ich stowarzyszenie „Pamięć” współorganizowało obchody Dnia Zwycięstwa, jak ważnego dla Rosjan, tłumaczyć nie trzeba. W programie był przejazd samochodów szlakiem pomników walk pod Narwą w 1944 r., też pozostających pod opieką „Pamięci”, pieczołowicie przez organizację odnowionych. Zwrócili się wcześniej do miejscowej policji o ochranianie przejazdu, na wypadek, gdyby estońscy narodowcy albo neonaziści zechcieli zakłócić wydarzenie. Policja odmówiła – wszystkie radiowozy podobno były potrzebne do innych zadań. Ostatecznie jednak na 9 maja funkcjonariusze się zjawili. Stali na każdym rogu, fotografując pojazdy uczestników uroczystości. Siergiej jest przekonany, że to, iż kilkunastu znajomych, którzy wtedy przyjechali na święto, dostało w krótkim czasie mandaty („takie, że człowiek się denerwuje, ale nie takie, żeby się odwoływać, koszty sądowe byłyby za wysokie”) nie może być zbiegiem okoliczności.

A już zupełnie przypadkiem nie może być różnica w podejściu do miejscowych pomników i cmentarzy. Nic nie grozi żołnierzom Bundeswehry, którzy od czasu do czasu przyjeżdżają sprzątać i składać kwiaty na pięknie utrzymanym, przy udziale estońskich władz, cmentarzu niemieckim. Są na nim groby i z II wojny światowej, i z wojny domowej i interwencji w Rosji. Różne wojska maszerowały przez rzekę, ginęli żołnierze różnych narodowości. Igor nie ma żalu o to, że żołnierze Hitlera są pochowani w godny sposób. – Ja tam z kwiatami nie pójdę, ale i niszczyć tych grobów nie będę, dzieciom też nigdy nie pozwalałem – mówi.



Pomnik-czołg nad Narwą, ostatni taki w krajach bałtyckich. Ale kiedy „Pamiat” wyraziła chęć odnowienia podniszczonego radzieckiego pomnika-czołgu, stojącego przy tej samej drodze, co cmentarz niemiecki, nagle okazało się, że tak naprawdę nie wiadomo, kto ma prawa do tego miejsca, kogo pytać o zgodę na remont. Udało się w końcu zdobyć pozwolenia, ale łatwo nie było. Przy następnym miejscu pamięci, monumencie „Trzy bagnety”, dokumenty w ogóle się nie znalazły i aktywiści postanowili zabrać się za sprząatanie mimo to. Dowiedzieli się, że za wykarczowanie krzaków i skoszenie wysokich zarośli grozi im sprawa o „wywóz drewna z lasu w celu wzbogacenia się”.

Takich historii jest więcej, mówią Siergiej i Wiktor, by zaznaczyć od razu, że się trudnościami nie zrażają, dopóki czują poparcie mieszkańców, czasem aktywne („ludzie, kiedy zobaczyli, że sprzątam czołg, sami przychodzili, przyłączali się”), czasem tylko ciche, wyrażone w słowach uznania i wstążce św. Jerzego na samochodzie. Tych jest coraz więcej. Szok po upadku przemysłowej Narwy, rozczarowania polityką państwa estońskiego wobec rosyjskojęzycznych, nawet tych „dobrych” z paszportami i znajomością języka stają się podglebiem dla odrodzenia patriotyzmu. Rosyjskiego, nie poradzieckiej nostalgii. Jakby pamięć o rosyjskiej historii mogła ukoić niepokój po narewskim końcu świata, osłodzić świadomość tego, że jeśli w tym mieście nic nie zacznie się

zmieniać, a na to się nie zanosi, to słynna Narwa po prostu odejdzie w przeszłość, będzie co najwyżej małą osadą przy przejściu granicznym.

Opowiada więc Igor o życzeniu wielu mieszkańców, konsekwentnie odrzucanym przez władze: niechby w centrum miasta znowu stanął pomnik Piotra Wielkiego, tam, gdzie był przed 1922 r. Cokół już jest, pusty, po wyniesionym na dziedziniec zamku Leninie. Naprzeciwko pozostałby obelisk chwały żołnierzy, którzy w 1944 r. wypędzili z Narwy faszystów, i tablice z nazwami walczących jednostek.

Car stałby kilkaset metrów od pomnika arcymistrza szachowego Paula Keresa, najsłynniejszego bodaj w historii etnicznie estońskiego mieszkańca Narwy. Jeszcze kawałek dalej, nieco na bok od głównej ulicy, jest całkiem nowy Szwedzki Lew, pamiątka po historii Narwy przed wojną północną. I dobrze, zgadzają się moi rozmówcy, taka jest właśnie historia tego miasta, uczciwie trzeba ją pokazywać. Tak samo z nazwami ulic, niech będą tylko po estońsku, jeśli tylko niektóre z nich będą poświęcone choćby rosyjskim pisarzom (znowu patriotyzm wygrywa z postradziecką nostalgią, ulicę komunistycznego działacza Jaana Anvelta dawno przemianowano i nikt jej specjalnie nie żałuje). Można by też odbudować dom Piotra Wielkiego. Czy nie byłby, tak jak zamek, atrakcją turystyczną?



Część pomnika bitwy narewskiej, tzw. „Trzech Bagnetów”. Władze estońskie są jednak nieprzejednane. Szwedzki Lew niech stoi, ale dom Piotra Wielkiego – nigdy w życiu. W Tallinnie, owszem, jest, nawet zachęca się do jego odwiedzania, ale stolica to jednak co innego, tam turystykę międzynarodową trzeba stymulować wszelkimi sposobami, bo to jeden z głównych pomysłów na rozwój miasta. W Narwie ważna jest przede wszystkim obronność. W ramach dbania o nią żołnierze NATO w pełnym rynsztunku kilka razy maszerowali przez miasto, zachodzili do szkół, a pod koniec stycznia urządzili sobie manewry nad samą rzeką, nie uprzedzając miejscowych o szykowanym ostrym strzelaniu. Byli też na zamku. Rozwinęli amerykańską flagę, uśmiechnięci stanęli do zdjęcia na tle rosyjskiego Iwangorodu.

– I po co to komu potrzebne? – pyta Siergiej. – Naprawdę rząd jeszcze nie wie, że my nie marzymy o żadnej inwazji zielonych ludzików? Gdyby na moście albo na ulicach zaczęły się jakieś rozruchy, pierwszy bym tam poszedł. Nie, nie walczyć po rosyjskiej stronie. Poszedłbym uspokajać i przekonywać, że to musi być prowokacja i żeby ludzie wrócili do domów. Nam tu wojna niepotrzebna.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Zdjęcia: Flickr/tm-tm (1), Agatha Rosenberg (2-5)

Źródło: Strajk.eu